

Wojna polsko-indiańska? – 1

25 lipca 2014

Mieszkaniec Polski z westchnieniem historycznej rezerwy spogląda w stronę kolonialnych nacji, których przedstawiciele brali udział w podbojach i rzeziach, dopuszczając się sekwestrów i gospodarczego pasożytnictwa na autochtonicznych społecznościach Azji, Afryki i obu Ameryk. To nie Słowianie znad Wisły wysyłali konkwistadorów za Ocean, nie oni przetrzebili populacje strefy karaibskiej, nie oni zrujnowali wielkie cywilizacje Mezoameryki i Andów. To nie oni niesieni wizją „boskiego przeznaczenia” i doktryną Monroe’a, zawłasczyli olbrzymie połacie Ameryki Północnej, od Missisipi po Oregon i Kalifornię. To także nie Polacy narzucili reżim handlowy mieszkańcom Azji Południowo-Wschodniej, sprzeciw tłumiąc w rzece krwi i represji. Synowie Lecha nie odpowiadają również za ludobójczą politykę w Kongo i Namibii; nie tłumili ruchów niepodległościowych w Algierii, Południowym Kamerunie, Mozambiku i Angoli. Nie wysyłali statków po zniewolonych Afrykańczyków, nie posiadali niewolniczych plantacji; podczas gdy nie ustrzegli się przed tym duńscy monarchowie, którzy przyzwalał na uskutecznianie tego procederu choćby na karaibskiej wyspie Świętego Tomasza.

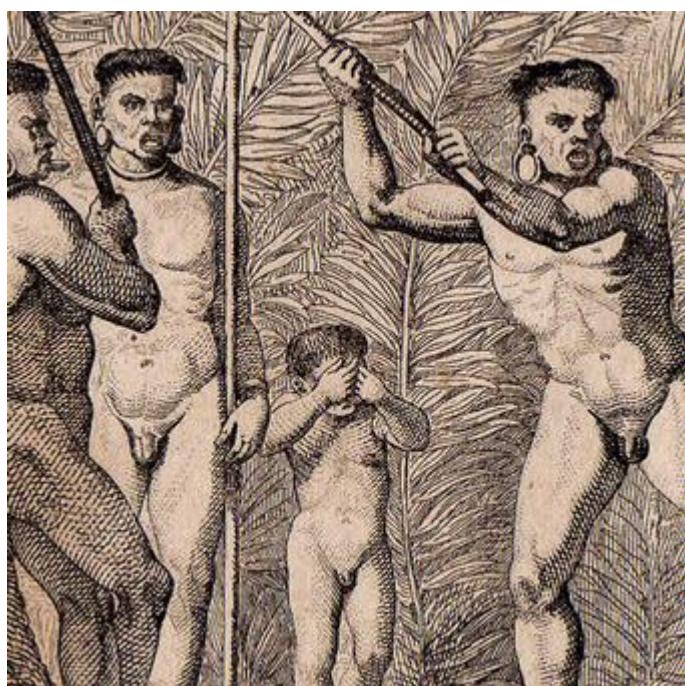
Gdy historia wynosi nagle Polaka w oko cyklonu kolonialnego procesu, w służbie Holandii, Anglii lub Chile, historiografia z reguły poucza nas o jego bohaterstwie lub przemyślności – nadwiślanin buduje a nie niszczy. Krzysztof Arciszewski jakkolwiek orężem, zapisał się w historii Niderlandów, jako fortyfikator i generał stawiający odważnie czoła hiszpańskim i portugalskim kolonistom. Ignacy Domeyko swoim zaangażowaniem przyczynił się do rozwoju naukowego Chile; był pionierem chilijskiego górnictwa, rektorem, a nawet zwolennikiem ułożenia pokojowych stosunków między rządem w Santiago a najeżdżanymi przez niego Mapuczami. Podczas wizyty prezydenta USA w Polsce, George’a W. Busha, w ramach sojuszniczego

resentymentu przypomniano o grupie polskich rzemieślników, biorących udział w budowie i ostawaniu się angielskiego osadnictwa w Wirginii. Zapewniali oni Jamestown nie tylko rzadkie usługi, ale i zorganizowali pierwszy w kolonii strajk. Generał i zwycięzca, inżynier i organizator, fachowiec i praktyk. Prototyp polskiego wkładu w europejską obecność w Ameryce, spoglądając na podane przykłady, przedstawia się zadaniowo i neutralnie.

Polegając na nich dochodzimy do wniosku, że Polacy stanowiący jedynie nikły promień fali kolonizacyjnej, ześlizgiwali się jedynie po burzy przemocy, zaboru i wyzysku. Nie brali w nich udziału. Jakżeby mogło być inaczej skoro Polska w XVIII wieku osłabiona, a później na ponad wiek wytarta z map świata, sama była rozrywana przez przemoc zewnętrzną? Wołała o wolność zamiast innym wolność tę odbierać. Twierdzenie, że XIX-wieczny polski mesjanizm, gdzieś tam po drugiej stronie globu, przerodził się nagle w nieopatrzne trawienie i zacieśnianie wolności, byłoby rzuceniem wyzwania historii, zaprzeczeniem nieodrodnemu przekonaniu budującemu wyobrażenie o sobie samym. I tu wyprzedzająco należy powiedzieć, że istotnie, nie istniała w tym okresie żadna zorganizowana myśl wywodząca się z Polski, która by nakazywała wkraczać, burzyć i zabierać, która inspirowałaby jakąś dającą się wyodrębnić część narodu polskiego do aktywności rzeczywiście inwazyjnej i kolonialnej. Gdy jednak pod koniec XIX wieku młode brazylijskie państwo otworzy swoje podwoje dla europejskiego osadnictwa, polscy wychodźcy, zaraz po niemieckich i włoskich, będą jednymi z liczniejszych którzy wyruszą by zasiedlać pustą, jak ich pouczono, ziemię subtropikalnego południa. Docelowa kraina ich podróży nie należała jednak do najbezludniejszych miejsc na Ziemi. Dowożeni na miejsce, czasami za darmo, przez kompanie okrętowo-kolonialne z Niemiec stawali się świadkami i stroną przerażającego konfliktu, którego humanitarny kres przyszedł w momencie gdy niemal było już za późno.

POŁUDNIOWA BRAZYLIA I JEJ MIESZKAŃCY NA POCZĄTKU KOLONIZACJI

Korona portugalska odkąd zyskała potwierdzone słowem papieża prawo do eksploracji lądów pokrywających się z północno-wschodnią częścią Ameryki Południowej wykorzystywała je do podboju i kolonizacji przypisanych sobie ziem. Takim sposobem lokowano wielkie porty, a dziś miasta: Salvador, Saõ Paulo i Rio de Janeiro, które stawały się punktami wypadowymi dla dalszej kolonizacji i wypraw po, początkowo indiańskich, niewolników. Istotną dla naszej opowieści pozostaje uwaga, iż portugalska obecność zaznaczała się stosunkowo mocno na północnym i środkowym wybrzeżu Brazylii. Zapuszczaniu się w regiony południowe nie sprzyjały skaliste brzegi dzisiejszych stanów Parana i Santa Catharina. Dlatego rdzenni mieszkańcy południowego wybrzeża Brazylii zachowywali stosunkową niezależność, a i ten region nie mógł skarżyć się szczególnie na rajdy bandejrانتów i łowców niewolników. Trend ten zaczął się powoli zmieniać gdy w najdalej na południe wysuniętej posiadłości portugalskiej, Rio Grande do Sul, odkryto doskonałe warunki dla hodowli bydła. Rio Grande do Sul i centra handlowe położone w Saõ Paulo dzieliły setki kilometrów; aby je połączyć wytyczono szlak „Północ-Południe”, którym pędzono olbrzymie stada bydła, w tym niezwykle cenne dla gospodarki kolonii muły, posiadające wartość transportową, handlową i spożywczą.



Szlak prowadził przez ziemie

tubylczych społeczności, mieszkańców wyżyny parańskiej, Kaingangów i Guaraní, z którymi do XIX wieku ustanowiono relacje względnie pokojowe oraz mieszkających na południe od nich, Indian Xokleng. Xoklengowie w polskim piśmiennictwie znani lepiej jako Botokudowie z uwagą obserwowali stada przemierzające ich terytoria. Do XVIII wieku specyfika europejskiej obecności w Nowym Świecie oszczędzała im nazbyt częstego kontaktu z białymi przybyszami. Wytyczenie szlaku przez serce Santa Cathariny było zapowiedzią nadchodzących zmian. Jednakże natenczas ludność tubylcza znajdowała się bardziej pod wpływem oczarowania niezwykłym zjawiskiem. Potężne stada dużych zwierząt musiały być czymś ekscytującym dla myśliwego obserwującego zza zakrzaczenia marsz tej kawalkady. Xoklengowie polowali na tapiry i pekari, czasami udawało im się unieść jelenia, nie było poza tym na ich tradycyjnych terytoriach zwierzyny równie wielkiej i łatwo dostępnej, co ta powolna i zbита w jedną rzekę masa istot. Laklanõ, czyli Ludzie Słońca – to najbardziej własna nazwa tego ludu z używanych dzisiaj – byli myśliwymi i zbieraczami. Jak wskazują niektóre cechy ich kultury, kiedyś prowadzili osiadły tryb życia, polegając na uprawie. Zanim jeszcze zetknęli się na dobre z przedstawicielami kultury europejskiej w XVIII wieku, stali się niemniej społecznościami wędrownymi.

Ludzie ci, znający znoje tropienia jelenia, dostrzegłszy zwierzęta tak dorodne i mało odporne, nie mogli sobie odmówić przypuszczenia zasadzki. Jak sugeruje Władysław Wójcik, który ponad 30 lat spędził w Brazylii, początkowo członkowie ludu Xokleng zaczajali się wzdłuż szlaku polując na odbite od stada pojedyncze sztuki, później dopiero zaczęli podkradać się pod powstające przy drodze punkty postojowe, skąd uprowadzali krowy, cielęta i okulałe w drodze woły. Wypadów tych nie sposób interpretować jako pospolitego złodziejstwa. Wśród brazylijskich nomadów nie znana była hodowla, ani dosłowna własność zwierząt. Widzieli związek między obecnością białych ludzi i zwierząt którym towarzyszyli. Nie istniała dla nich ponad tę zbieżność żadna różnica między wołem czy mułem, a

innymi zwierzętami tropionymi w lesie. W systemie ich wartości było rzeczą nie podobną rościć sobie prawo do ziemi jako takiej lub do zasobów przyrodniczych jako całości. Własność prywatna, istotna dla ludności napływowej, wśród autochtonów miała bardziej płynny charakter, nie tak oczywisty, jak chciał to by widzieć tropeiros, poganiacz stad. Ten ostatni, przechodzący przez ziemię Indian bez ich wyraźnej zgody, nie czuł się zobowiązany uiścić myta lub jakiejś opłaty, odpowiadającej kwocie pobieranej na rogatkach niektórych europejskich miast. Atak na dobrostan stada – uważał – choćby incydentalny, należy za to zdusić w zarodku. Tak oto padały pierwsze strzały i ofiary śmiertelne. Intensywność kontaktów, a co za tym idzie podobnych zdarzeń, nie była wówczas jeszcze tak powtarzalna. Warto już teraz zdać sobie niemniej sprawę z tego, jak bardzo odmienne rozumienie prawa własności, determinowało konflikt, prowadząc w przyszłości do jego eskalacji.

W momencie kontaktu z Europejczykami lud Xokleng dzielił się na trzy podstawowe grupy. Pierwsza z nich zamieszkiwała centralną część Santa Cathariny, a dokładniej średni i górny obszar Doliny Itajai. Ziemie drugiej pokrywały się z górnym biegiem rzeki Rio Negro oraz częścią stanu Parana. Terytoria trzeciej grupy rozciągały się od Rio Grande do Sul, niedaleko Porto Alegre po południową część Santa Cathariny. Posługiwali się językiem z rodziny Jê; mowa ich była zrozumiała dla Indian Kaingang wywodzących się z tego samego pnia językowego. Nazwę „Xokleng”, będącą zniekształconą formą słowa „xokren”, w odniesieniu do tej grupy tubylczej spopularyzował w swoich pracach etnolog Silvio Coelho dos Santos. Kojarzona ona jest między innymi z „pajakiem” i jak twierdzą Indianie, została wymyślona przez Brazylijczyków przez pomyłkę. Wcześniej przez całe dziesięciolecia ludność napływowa określała ich mianem Botokudów. Egzonim ten skonstruowano w nawiązaniu do istotnego elementu kulturowego plemienia [1].

Gdy chłopiec osiągał wiek pięciu lat podczas rytuału

inicjacyjnego otrzymywał botok, rodzaj drewnianej ozdoby umieszczanej w dolnej wardze. Etnograf Jules Henry utrzymywał, że wśród Xoklengów istniał silny związek między mężczyznami, którzy nazywali siebie „towarzyszami polowań”, związek wykraczający poza więzy krwi. Ideał pedagogiczny plemienia zakładał, że proces dorastania i nauki powinien każdą osobę przekształcić w „Waikayú”, czyli człowieka pełnego i dumnego z siebie, podziwianego przez resztę społeczności. Tytuł ten przypisywano starszym i zasłużonym myśliwym i wojownikom. Kiedy dorosły członek społeczności umierał był poddawany kremacji, jego szczątki umieszczano w koszu i grzebano. Ciało zmarłego dziecka, które nie przeszło rytuału inicjacyjnego chowano w stanie nienaruszonym. Wierzono, że umierający brzdąc odrodzi się powtórnie w łonie matki. Związki zawierane na łonie społeczności nie miały jednolitej struktury. Obok relacji monogamicznych rozwijały się stosunki poligamiczne, a nawet poliandria. Lewirat i poliginia sororalna nie były zakazane. Wierności małżeńskiej nie postrzegano jako szczególnego spoiwa cementującego związek, nie dochowywano jej również w praktyce.

Xoklengowie byli raczej średniego wzrostu i krępej budowy ciała, z krótką szyją i szeroką klatką piersiową. Nosili niekrótkie włosy, skórę mieli gładką i ciemną; oczy natomiast lekko skośne, czym różnili się od większości szczepów brazylijskich. Wzrost mężczyzny wahał się między 160 a 175 cm, kobiety mierzyły zazwyczaj od 155 do 165 cm. Jako plemię wędrowno-zbierackie dzielili się na mniejsze grupy liczące sobie od 50 do 300 osób. Zimę spędzali na płaskowyżu. Latem schodzili do doliny gdzie wznosili tymczasową osadę na bazie półkola z centralnym placem, na którym organizowano rytuały inicjacyjne, zawierano małżeństwa, odprawiano obrządki pogrzebowe, planowano polowania, zawierano pokój lub przygotowywano atak na konkurencyjną społeczność. Po letnim sezonie uroczystości, wieś była opuszczana, a grupa udawała się z powrotem na płaskowyż.



Zanim na ziemiach Xoklengów pojawili się biali Indianom zdarzało się ścierać między sobą. Walki wybuchały zarówno między poszczególnymi grupami Xoklengów, jak i między nimi oraz Kaingangami i Guarani. Równie dobrze spotykali się jednak razem by między kwietniem i sierpniem zbierać obfite owoce drzewa piniorowego. Araukaria Brazylijska, tutaj, na południe od zwrotnika Koziorożca osiągała wysokość 30 metrów; jej owoce stanowiły podstawę diety tubylczych społeczności. Flora i fauna zapewniały wszystko, co tylko było im potrzebne do życia. Zbierali miód, polowali, nie tylko na dużą zwierzynę, ale także na ptaki i małpy. Spędzali długie dni w lesie, trudniąc się zbieractwem i tropieniem, by następnie przynosić zdobycze do obozowiska i spożywać je razem. Do walki i polowań używali dużych łuków i strzał, posługiwali się również pałkami oraz liczącymi sobie ok. 170 cm długości włóczniami. Im bliżej XX wieku, tym częściej kierowali ten tradycyjny arsenał w stronę nowego, nieznanego wcześniej, typu przybysza.

OD TRONU DO ZAGRODY

Pedro de Bragança jako przyszły następca portugalskiego tronu miał wielkie widoki by zasiąść na nim po śmierci swego ojca. Wezwanie do Lizbony i degradacja, gdy rezydował akurat w Brazylii, mogły odwrócić jego kartę na inną stronę. Miał niemniej w sobie tyle hardości i woli działania, a także

posłuchu dla środowisk do tego zdeterminowanych, że wybierając nieposłuszeństwo, czym prędzej ogłosił niepodległość Brazylii, a wkrótce mianował się jej cesarzem. Tak oto został Pedrem I, co nie przeszkodziło mu w tym, aby w przyszłości stać się i Pedrem IV, królem Portugalii. Za małżonkę, jeszcze przed secesją, pojął pierwszy cesarz Brazylii Leopoldinę Habsburg, partię z najwyższej półki europejskich salonów, bo córkę cesarza Austrii, Franciszka I.

Pedro I ogłaszając niepodległość nowego państwa zamierzał w sposób istotny przeobrazić jego gospodarkę. Obrana przez niego strategia polegała na wspieraniu systemu społeczno-gospodarczego opartego na drobnym rolnictwie, w przeciwieństwie do dominujących od czasów kolonialnych, wielkich posiadłości monokulturowych, tworzących nadal silne, konserwatywne ogniska wsparcia dla Portugalii. Cesarskie plany budziły niezadowolenie wielkich posiadaczy i były przyczyną spięć w senacie. Obawiano się, że napływ drobnych, pracujących na własny rachunek rolników ze starego kontynentu stanie się konkurencją dla taniej siły mięśni afrykańskich niewolników, na których eksploatowanie brazylijskie prawodawstwo będzie przyzwalało jeszcze przez kolejne 70 lat. Impas zostaje rozwiązany w 1834 roku, kiedy oponenci dochodzą do zgody, że należy utworzyć dobrze rozwiniętą linię komunikacyjną między wybrzeżem i wyżynami, w stanach Rio Grande do Sul i Santa Catharina. Skierowanie głównego nurtu osadnictwa na południe Brazylii godziło sprzeczne interesy i pozwalało starym, wpływowym seniorom z północy na zachowanie korzystnej dla siebie struktury ludnościowej w „starej Brazylii”.

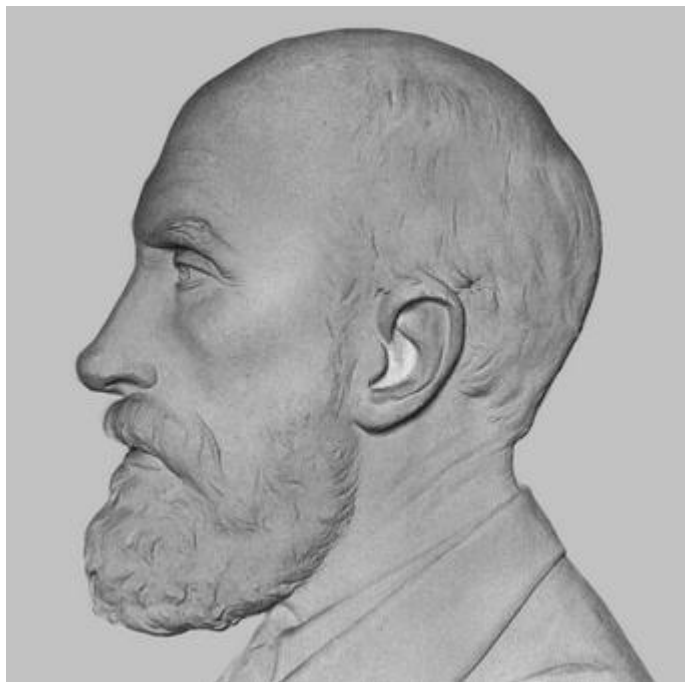


Pierwsze, stosunkowo nieliczne grupy osadników przybywają już wcześniej, za cesarzową Leopoldiną. Są wśród nich Niemcy, Szwajcarzy, a nawet Norwedzy. Jedna z pierwszych osad imigranckich zostaje ochrzczona „Nowym Fryburgiem”. W 1824 roku w Europie kampanię na rzecz osadnictwa prowadzi major Schäffer – wysiłki jego nie spotykają się z większym zainteresowaniem. Nowe otwarcie w zasiedlaniu i polityce Brazylii, także jeśli chodzi o politykę imigracyjną, nastąpi ponownie z powodu zawirowań monarchiczno-dziedzicznych. Otóż wybrzeże Santa Cathariny należało do francuskiego księcia Joinville, który stał się jego właścicielem, wchodząc w związek małżeński z Francisą de Bragança. Córka Pedra I i zarazem siostra kolejnego cesarza Brazylii, wniosła te dobro do portfela ślubnego w posagu. Pomyślność księcia Joinville wielce była uzależniona od tego, jak wiodło się jego ojcu, królowi Francji w Europie. Gdy zajścia z lutego 1848 roku w Paryżu obalają monarchię lipcową i zmuszają Ludwika Filipa I do zbiegostwa z kraju, detronizację równie mocno odczuwa młody książę. Popadłszy w kłopoty finansowe, książę Joinville szuka drogi wyjścia z niewygodnej sytuacji i znajduje ją w osobie mieszczanina z Hamburga. Christian Matthias Schröder był dobrze uposażonym patrycjuszem który odziedziczył stanowisko po swoim ojcu, zasiadał w senacie Hamburga. Żyło mu się dobrze. Jako

właściciel kilku statków i magazynów w Anglii zaproponował księciu w opałach wydanie stosownej koncesji, umożliwiającej mu rozpoczęcie przedsięwzięcia osadniczo-handlowego. Odpowiedź odmowna nie padła. Inicjatywa kolonialna w Santa Catharinie stała się otworem i w następnych dziesięcioleciach nabierała rozmachu.

DYNAMIKA KOLONIZACJI POŁUDNIOWEJ BRAZYLII I JEJ PROPAGANDA

W latach 1829-1851 europejscy wychodźcy podejmowali wiele częściowych inicjatyw osiedleńczych w Brazylii. Niewiele z nich wydało równie bogaty owoc, jak chwiejna początkowo latorośl Otto Hermanna Blumenaua. Na początku lat 40. XIX wieku Blumenau pracował jako farmaceuta, najpierw w rodzinnym Hasselfelde, a później w Erfurcie. Posiadał wszystkie przymioty, by dokonać żywota jako dobrze sytuowany i szanowany mieszczanin Prus, a później zjednoczonych Niemiec. Ciekawość świata i ambicja, będące najpewniej cechami nabytymi przez niego już wcześniej, zostały podostrzone przez studia na Uniwersytecie w Erlangen (1844-46), gdzie uzyskał doktorat z chemii. Kontakty z uznanymi przyrodnikami, Carlem Friedrichem Philipsem von Martiusem i Alexandrem von Humboldtem, a także z konsulem generalnym Brazylii, skierowały jego uwagę w stronę wybrzeża Ziemi Świętego Krzyża. Do emigracji pchała go nie tylko wola przekraczania granic nieznanego, ale i przemysłane przedsięwzięcie, mające w razie powodzenia, przynieść mu ekonomiczny awans. Pomysł sprzedawania działek niemieckim osadnikom przybywającym do południowej Brazylii stanowił część tego zamierzenia.



W 1848 roku Blumenau opuścił Europę i jako pełnomocnik Towarzystwa Ochrony Niemieckich Emigrantów w Południowej Brazylii, z siedzibą w Hamburgu, udał się do Santa Cathariny, by złożyć stosowny wniosek w tej sprawie miejscowej administracji. Zgłoszenie zostało zatwierdzone. W 1849 roku przywódca nowej kolonii, znajdującej się jeszcze w stanie embrionalnym, powraca do Europy i rozpoczyna zakrojoną na szeroką skalę akcję rekrutacyjno-propagandową, celem której jest oczywiście przysporzenie jej mieszkańców. Towarzystwo osadnicze reprezentowane przez Blumenaua wydaje na ten użytek książkę której fragmentów nie powstydzilyby się współczesne foldery turystyczne. „Królestwo Brazylii jest bardzo bogate, a na południu wydaje najbardziej szlachetne i wspaniałe owoce. Piękno lasów jest przytłaczające, a ich wysokość niemal dusi. Fascynującym jest księżycowy spacer, w letni balsamiczny wieczór, wzdłuż jasnej i spokojnej rzeki. W Santa Catharinie, w przeciwieństwie do tego co przedstawia sobą większość gorących krajów, noce przez większą część roku są łagodne i tylko rzadko bywają zimne i wilgotne. Te doświadczenie pozostawia dobre wrażenie, które kompensuje irytację powodowaną ukąszeniami komarów, krzykiem papug i rechotem żab”.

Ogłoszenia i zachęty do emigracji toną w rozkosznych obrazach. Aby przyciągnąć ludzi, Blumenau prowadzi akcję propagandową na

całym Starym Kontynencie. Życie w Ameryce ma być o wiele lepsze niż w ówczesnej Europie. Idealizm i determinacja Hermanna Blumenaua miały osobiste poparcie drugiego cesarza Brazylii, Pedra II. Sam Blumenau na początku kolonizacji liczył przede wszystkim na wsparcie niemieckiego państwa jako organizatora i finansisty projektu. Oczekiwane wsparcie nie nadeszło – w patronacie dla kolonizacji, i to na terenie obcego państwa, nie dostrzegano wymiernych korzyści. Pierwsze efekty naboru do kolonii nie były też zadowalające. Zaledwie siedemnaście osób wcieliło się w rolę pionierów i zdecydowało na zostanie pierwszymi mieszkańcami kolonii Blumenau, którą nieprzypadkowo ochrzczono na cześć jej założyciela. Imigranci w tym czasie wybierają inne amerykańskie państwa: Argentynę, Chile i Stany Zjednoczone; tam też kieruje się główny nurt kolonizacji. Z każdym rokiem populacja Blumenau jednak pęcznieje. W 1852 roku, po dwóch latach od założenia kolonii, miejscowość liczy sobie już 102 mieszkańców i systematycznie podnosi swoją liczebność. W 1851 roku powstaje kolejna osada w Santa Catharinie, mianowicie Joinville. W owym czasie ruszają też prace miernicze. Hermann Blumenau pozyskuje dla swej kolonii znane później nazwiska: mierniczego i kartografa Emila Odebrechta oraz Fritza Müllera, wielkiego orędownika teorii Darwina.

W latach 1850-1867 w południowej Brazylii powstaje 26 osad kolonialnych: 4 w stanie Parana, 8 w Santa Catharinie i 14 w Rio Grande do Sul. Jedną z przyczyn narastającego zainteresowania emigracją za Atlantyk jest notowany w XIX wieku, znaczny wzrost populacji, zwłaszcza w krajach niemieckich, gdzie wielki skok demograficzny wyprzedza możliwości zaspokojenia rosnącej skali potrzeb żywieniowych. W Niemczech odczuwalny pozostaje również ucisk feudalny. Chłopi wyzuci z własności ziemskiej zmuszeni byli do pracy na dużych gospodarstwach znajdujących się w rękach, zwłaszcza, arystokracji. Możliwość pozyskania gospodarstwa małorolnego, którego płody wypracowywane własnymi rękoma, należą do właściciela, wydawały się społecznym awansem i wyzwoleniem,

niedostępnymi na niemieckiej ziemi.

Od lat 70. XIX wieku obok napływających wciąż osadników niemieckich do południowej Brazylii zaczynają docierać, wyraźnie obecni później, Włosi. Pochodzą oni przede wszystkim z obszaru Cesarstwa Austro-Węgierskiego, a zwłaszcza z północnej części Włoch, z regionu Trento. W przeciwieństwie do pierwszych imigrantów portugalskich i niemieckich osadników, Włosi nie przybywają jedynie po to by się szybko wzbogacić i z majątkiem, tak szybko jak to możliwe, wrócić do Europy. Większość z nich rzeczywiście szuka nowej ojczyzny. Gdy pierwsza grupa włoskich osadników przybywa do Blumenau, doznaje rozczarowania, widząc zamiast oczekiwanego miasta jedynie rancza i niemal wyłącznie drewniane domy. Są wśród nich na ogół robotnicy i drobni posiadacze, którzy z powodu pogarszających się warunków gospodarczych w Europie i licznych nieurodzajów, opuścili ziemię uciekając przed nękającym Europę kryzysem rolnym. Imigranci z Italii otrzymując nowe warunki gospodarowania, zaczęli się szybko uniezależniać. W pierwszych latach ich obecności powstają dwie włoskie osady: Urussanga oraz Nowa Wenecja.

Wśród osadników niemieckich pojawiają się pierwsi Polacy, pochodzący początkowo z terenów obecnego zaboru pruskiego: Śląska, Pomorza i Wielkopolski. Jest ich zbyt mało, by mogli utworzyć własne osady. Planom tym sprzeciwiają się zresztą ich niemieccy sąsiedzi, którzy ducha germanizacji starają się eksportować za ocean. Pierwsza skuteczna polonijna rokosz w południowej Brazylii wiąże się z nazwiskiem Edmunda Sebastiana Woś Saporskiego. Możliwe, że jego stopa nigdy by nie dotknęła piasków Ameryki gdyby nie obawa związana z wcieleniem do wojska pruskiego. Opuszcza on z tego powodu rodzinny Śląsk Opolski i ląduje najpierw w Argentynie i Urugwaju, by w 1868 roku zameldować się w Blumenau. Wywodzący się z rodziny chłopskiej Woś Saporski zdobywa zaufanie polskich osadników i rozpoczyna zabiegi o zgodę na utworzenie pierwszej, samodzielnej osady polskiej. Wspomagany przez ks. Antoniego

Zielińskiego wystosowuje petycje w tej sprawie do cesarza Pedra II, starając się jednocześnie o wzmocnienie swej argumentacji poprzez sprowadzenie do Brazylii nowych osadników polskich. Wysiłki jego zostają nagrodzone dwa lata później. W lipcu 1871 r. polskie rodziny z kolonii Blumenau i Brusque, łącznie 164 osoby, opuszczają nocą osady dotychczasowej bytności i w konspiracji przybywają do Kurytyby. Na przydzielonej im ziemi powstaje pierwsza polska osada – Pilarzinho (Pielgrzymka). Odtąd stan Parana staje się głównym kierunkiem polskiej migracji do Brazylii, ona też rodzi największą ilość polskich osad. Polaków nie brakuje jednak również w położonych bardziej na południe Santa Catharinie i Rio Grande do Sul.



Największa fala osadnictwa rusza po zniesieniu niewolnictwa w 1888 roku i wraz z wprowadzeniem ustroju republikańskiego. Potrzeba rąk do pracy; brazylijski rząd dąży zarazem do wprowadzenia kontroli nad rozległym interiozem, jak i do jego zagospodarowania. Po 1890 roku, gdy wybucha tak zwana „gorączka brazylijska” z zaboru austriackiego i rosyjskiego do Brazylii przybywa około 80 tysięcy osadników polskich, z czego 60 tysięcy zostaje za oceanem na stałe. Podczas drugiej fali gorączki w latach 1897-1905 z Galicji w zaborze austriackim przybywa następne 7 tysięcy ludzi. Wśród przybyszy obok Polaków są również Ukraińcy. W gronie emigrantów polskich dostrzegamy

pomniejszych literatów, osoby ścigane za działalność strajkową i niepodległościową; przeważają jednak robotnicy, uciekający np. przed kryzysem w branży włókienniczej, a przede wszystkim wysuwający się na czoło chłopci, mamieni niejednokrotnie błogością życia za oceanem.

Na terenie wszystkich zaborów, nie mogąc zaspokoić zapotrzebowania w landach niemieckich, działali agitatorzy kolonialni i emisariusze brazylijscy. W celu wzbudzenia zainteresowania i wywołania podniecia wśród ludu, prowadzili działalność propagandową po karczmach, inspirowali powstawanie agitacyjnych opowiadań, wierszy i relacji, które w postaci plotek i słowa mówionego, krążyły później po jarmarkach i wiejskich zgromadzeniach. Szaflowano różnymi metodami, aby zwabić, przekonać i zachęcić. Brazylia miała być ziemią gdzie kopie się złoto, gdzie każdy dostaje tyle ziemi, ile zażąda. Kawa, ryż, rodzyнки, pomarańcze i melony są na wyciągnięcie ręki. W opisach wspomina się o diamentach i trafiających do wyobraźni ludowej koralach. Pojawiają się wpływowi protektorzy, których życiową misją stało się sprowadzenie ludu katolickiego do kraju południa. Słyszymy więc o brazylijskiej cesarzowej, a nawet Herbercie von Bismarcku, synu Otto, który w przeciwieństwie do swego ojca przyjął katolicyzm i w Brazylii począł zakładać nową Polskę. Niepiśmienni mieszkańcy zaboru austriackiego mogli usłyszeć podobną historyjkę. Brazylia znajdowała się – według niej – pod panowaniem księcia Rudolfa, syna cesarza austrowęgierskiego Franciszka Józefa, a i sam cesarz na emigrację polsko-ukraińską zapatrywać się miał przychylnym okiem. Poręczycielem cudów brazylijskich i gospodarzem tamtejszej ziemi, jak przekonywały niektóre teksty agitacyjne, miał być sam papież, działający pod natchnieniem bożym i patronujący kolonialnej ekspansji. Posuwano się zatem do konstrukcji najdziwniejszych, do najbardziej wyuzdanych.

Obrazy te, celowo przesadzone, nie odpowiadały rzeczywistości z jaką stykali się wychodźcy na miejscu. Koloniom brakowało podstawowej infrastruktury umożliwiającej przepływ produktów i

usług. Obok spontanicznych sukcesów, emigracja niosła za sobą jarzmo wyobcowania, smutku i tęsknoty. Żle znoszono, odmienny od europejskiego, wilgotny i gorący klimat. Emigranci zmagali się z nędzą i głodem; niektórzy umierali lub wyprzedawszy cały majątek wracali z pustymi rękami do domu. Szok kulturowy i trudne warunki egzystencji wywoływały traumę i zaburzenia psychiczne. Niejednokrotnie ciężki los wychodźców na brazylijskiej prowincji nie przekładał się na kłopoty i kryzys kompanii handlowo-osadniczych. Hojność związana z darmowym przewozem za oceanem, była z ich strony pozorna. Jeszcze przed upadkiem brazylijskiej monarchii tamtejszy rząd zawarł z trzema prywatnymi liniami okrętowymi kontrakty na dowiezienie z Europy do Ameryki Południowej ćwierć miliona osadników. Za każdego wychodźcę wysadzonego na brzeg Ziemi Świętego Krzyża ci pozorni przedsiębiorcy-wolontariusze otrzymywali od swych zleceńodawców 168 franków w złocie.

ZDERZENIE DWÓCH ŚWIATÓW

Hermann Blumenau, jak nadmieniliśmy wcześniej, za pierwszym podejściem skłonił do emigracji zaledwie 17 osób. W gronie tym znalazły się cztery kobiety i dwójka dzieci. Pionierzy którzy osiedli w Dolinie Itajai trudnili się ciesielstwem, kowalstwem, rolnictwem i garncarstwem. Podobnie jak osadnicy, zasilający kolonię w następnych latach, nie mieli pojęcia, że ziemie, które przedstawiono im jako ich nowy dom, mają już swoich mieszkańców. Brazylijski rząd i spółki kolonialne były zgodne, co do tego, że w przekazach zewnętrznym należy minimalizować obecność ludności tubylczej, przeciwstawiając jej pojęcie pustki demograficznej. Twierdzono, że Indianie żyją w głębi lądu i tylko czasami schodzą do przybrzeżnych dolin i lasów. Dla kolonistów egzystencja ludności autochtonicznej na ziemiach za które zapłacili własnymi pieniędzmi, była wielkim zaskoczeniem. W tym sensie zarówno oni, jak i Xoklengowie byli ofiarami.



Tuż po powstaniu kolonii Blumenau doszło do zdarzenia, dobrze ilustrującego, jak niełatwą była ścieżka porozumienia między obiema stronami. Pracownicy, kończący budowę domu Hermanna Blumenaua, 28 grudnia 1852 roku, zostali zaskoczeni obecnością grupy Indian. Jeden z obecnych chwycił za broń i krzyczał do przybyszy, po niemiecku, by odeszli. Ci nie rozumiejąc mowy obcych wycofali się, ale naturalna ciekawość skłoniła ich do powrotu i przyjrzenia się z bliska niezwykłym urządzeniom okalającym plac budowy. Wtedy przerażeni pracownicy, przewencyjnie, oddali w stronę niechcianych gości kilka strzałów. Mieli nadzieję, że huk wystrzeliwanych pocisków przestraszy i przegoni. Zaciekawione grono Xoklengów uciekło, lecz nazajutrz koloniści znaleźli omdlałego i ciężko ранego mężczyznę. Rany poszkodowanego próbował opatrywać lekarz weterynarii Friedenreich, który przybył do kolonii w gronie pierwszych siedemnastu imigrantów. Pocisk uderzył Indianina w plecy i przeszedł do żołądka. Kilka minut później zmarł. Wiek pierwszej tubylczej ofiary kolonizacji Friedenreich oszacował na 20 lat. Zabity mężczyzna miał krzaczaste i grube, lśniące włosy. W jego dolnej wardze tkwił botok. Ciało denata przeniesiono na płótnie do domu.

Wkrótce po tym wydarzeniu Indianie ponownie pojawili się pod budynkiem. Tym razem osadnicy skryli się na poddaszu, będąc w pełnej gotowości do odparcia ataku. Goście weszli do domu i

zabrali wszystkie przedmioty które uznali za godne zainteresowania. Po dokonanej penetracji wyskoczyli przez okno. Friedenreich stwierdził, że „dzicy przybyli kraść, nie zabijać, ale teraz będą szukać zemsty”. Z archiwalnych tekstów sporządzonych w 1857 roku wynika, że pięć lat wcześniej Indianie otoczyli sześć rancz i siali postrach pośród najśmielszych osadników. Pisano również o ataku na Blumenau. Mieszkańcy kolonii byli nieustępliwi, stawiając opór intruzom. Oznaczało to kolejne przypadki śmiertelne wśród Xoklengów. Spirala nieufności i przemocy musiała więc narastać, chociaż przyczyny tych zająć bywały prozaiczne. Wystarczyło bowiem, aby Indianie pojawili się na skraju pola i zbierali ziarna z kłosów należących do białych. Jedno uniesienie, irytacja i strzał powodowały rozlew krwi. Konfrontacja zaostrzała się więc w następnych latach.

W styczniu 1855 roku doktor Hermann Blumenau staje się bezpośrednim świadkiem tragedii niemieckich kobiet. Dwoje nowoprzybyli osadnicy, ojcowie rodzin, zostali zaskoczeni i zamordowani przez Indian w biały dzień, w odległości zaledwie dwudziestu sążni od swoich domów. „Kiedy przybyłem na miejsce katastrofy, stałem się świadkiem strasznej sceny, chyba najbardziej bolesnej z całego dotychczasowego życia – wyznaje Blumenau – zwłoki zamordowanych były strasznie okaleczone siekierą, a przy nich siedziały i zawodziły biedne wdowy”. Przywódca kolonii pisze, że gdy tylko objawił się oczom owdowiałych kobiet, te przystąpiły do niego i udzieliły mu surowej nagany. Winiły go za śmierć swoich mężów, że to on namówił ich do wyjazdu oraz wysłał do niepewnego i niegościnnego kraju, czyniąc czwórkę dzieci sierotami. „Niech Bóg w swojej dobroci, zechce uchować mnie od ponownego zobaczenia tej sceny” – wspominał ze zgrozą Blumenau.

List inspektora Juliusa Baumgartena do jego brata Hermanna, z 7 grudnia 1855 roku, zawiera kolejny przypadek śmiertelnego zderzenia przedstawicieli dwóch światów. W rezultacie napaści Indian zginęło dwóch mężczyzn, ranny został zaś Paul Kellner,

który także należał do grona pierwszych siedemnastu osadników z Blumenau. Podczas standardowych zajęć Kellner dostrzegł 8 lub 9 Bugrów, jak pogardliwie odnoszono się do Indian. Wszyscy trzymali w rękach łuki i mierzyli w stronę osadników. Według Kellnera, zdążył on tylko wydać okrzyk ostrzegawczy w stronę dwóch towarzyszących mu pracowników, kiedy strzała trafiła go w plecy. Jeden z jego kompanów miał mniej szczęścia, strzała ugrzęzła prosto w sercu. Wkrótce poważne rany odniósł trzeci z osadników. Niedomagający Kellner bronił się ponoć jeszcze łopata, próbując bez skutku podnieść broń. Indianie w tym czasie włamali się do domu i zabrali narzędzia znajdujące się w środku. Autor listu podkreśla, że zaskoczeni koloniści nie byli uzbrojeni, posiadali jedynie oporządzenie zdatne do pracy. Powtarzające się przypadki śmiertelne nie hamowały na dłuższą metę kolonizacji.

W 1860 roku kolonia liczyła sobie już około 670 mieszkańców, a w następnym dziesięcioleciu osadnicza populacja została zasilona o następne 4,5 tys. wychodźców z Europy. Rozrastająca się społeczność pochłaniała coraz to nowsze połacie ziemi. Ekspansja była znaczna, tym bardziej, że nie preferowano zwartej zabudowy a rozsiane, sąsiadujące z sobą rancza z dużą, indywidualną powierzchnią użytkową. Osadnicy wnikali systematycznie w głąb terytorium Xoklengów. Napięcie utrzymywało się na wysokim poziomie, a kontakt między dwoma odmiennymi wspólnotami kulturowymi, podlegał intensyfikacji. Gazeta Kolonie Zeitung, wychodząca w Joinville, w numerze z 6 stycznia 1865 roku donosi o włamaniu do domu wdowy Schurt, a 7 grudnia tego samego roku relacjonuje atak na kolonistów: Brehma i W.Seefeldta w kolonii Brusque. Ranny Brehm umiera następnego dnia. Osadnicy organizują pościg za Xoklengami, nie udaje im się jednak zlokalizować napastników. Ślady na jakie natrafili pozwoliły im oszacować, że w grupie Indian która kręciła się tego dnia po okolicy było 3 mężczyzn, 2 kobiety i 1 chłopiec. 6 marca 1872 roku Hermann Blumenau w liście do nowego prezydenta prowincji Santa Catharina, informuje o indiańskiej napaści na dom osadnika João (Jana) Piskiego.

Mieszkanie zostaje splądrowane, a ciężko ranny Piski umiera następnego dnia.

9 kwietnia 1873 roku, doktor Blumenau odnotowuje tragiczny w skutkach napad na rodzinę Ittnerów. Ojciec rodziny Guilherme (Wilhelm) i jego małżonka zostają ciężko ranni. Gromada Xoklengów, odpowiedzialna za te wtargnięcia, zabija dwóch synów Ittnerów, jeszcze dzieci. Unieszkodliwiając mieszkańców napastnicy wynoszą przedmioty znalezione w domu. Pani Ittner nigdy nie podnosi się po tym zajściu. Żyje jeszcze w cierpieniach cztery miesiące i umiera. Z czteroosobowej rodziny przeżywa tylko Guilherme. Bez zagrabionego majątku i kilku miesięcy, w trakcie których nie mógł podjąć pracy, jego sytuacja majątkowa przedstawia się gorzej niż nowych osadników. W listopadzie 1876 pan Blumenau pisze o październikowym napadzie na dom Adama Paternolliego, tyrolskiego osadnika, zamieszkującego najdalsze ostępy w górnym biegu rzeki Cedros. Mężczyźni z botokami w dolnej wardze, zabijają jego dwie córki, w wieku 5 i 16 lat.

Wnikliwe opisy napadów na domy osadników szokują i nie przysparzają Xoklengom sympatii. Zamieszczane w kolonialnej prasie i czasem przerysowane, rozbudzały strach i antypatię przejawianą otwarcie względem rdzennych mieszkańców Santa Cathariny. Pamiętać powinniśmy, że stanowią one świadectwo tylko jednej strony. Nie znamy równoległych relacji Xoklengów, doświadczających przemocy ze strony osadników. Źródła historyczne z lat 1850-1879 nie zawierają również sylwetek indywidualnych osób z tej grupy etnicznej, osadzonych w konkretnej społecznej konwencji i opisujących wpływ przemocy na życie danej im społeczności. Wtargnięcia do domów osadników, wynoszenie przedmiotów użytkowych z ich wnętrza, nie należą same w sobie do oznak zapamiętałej wrogości. Przebieg pierwszych kontaktów, innych, lepiej zbadanych społeczności tubylczych Brazylii, takich jak Yanomami czy Kayapo, potwierdzają, że żyjący wcześniej we względnej izolacji autochtoni, penetrują obce na ich terytorium zagrody

osadnicze. Znajdując niezwykle i nieznane wcześniej sobie przedmioty użytkowe, przekonując się o ich przydatności lub rozpoznawszy w nich moc, ponownie nawiedzają obejścia osadników w celu poszukiwania nowego i rzadkiego dla nich surowca. Tak oto w oczach osadnika widziana grabież, nie była zrazu objawem wojny. Xoklengowie nie prowadzili zresztą względem kolonistów wojny jako takiej. Punktowe starcia z okresu pierwszych 30 lat kolonizacji, przypominały raczej wendetty i rewanże za doznane krzywdy. Biali zaś podnosili strzelbę w stronę intruzów, którzy ich zdaniem, naruszali prawo własności. Oddanie strzału lub zabicie „wszędobylskiego” Indianina uchodziło za element obrony własnej i swojego majątku.

To co dotąd kłopotliwe, wkrótce okazuje się niepożądane. Już w latach 50. XIX wieku, czyli na początku kolonizacji, pojawiają się głosy o potrzebie rozwiązania problemu indiańskiego. W 1856 roku dochodzi wręcz do załamania ekspansji. Nękani obecnością Xoklengów osadnicy narzekają na brak bezpieczeństwa w kolonii i grożą opuszczeniem farm. W prowincji stacjonuje 70-osobowy oddział pieszych strzelców, powstały w 1836 roku. Jest on mało mobilny i nie zna lasu tak dobrze jak autochtoni. Nie spełnia funkcji zapobiegawczej, a gdy dociera na miejsce zgłaszanych incydentów jest już z reguły za późno by podjąć jakiegokolwiek kroki. Hermann Blumenau nie należał do entuzjastów tej formacji – narzekał, że jest ona źle wyposażona.

Doktor Blumenau tracił również cierpliwość do samych Indian. Będąc patronem i ojcem-założycielem kolonii w Dolinie Itajai oraz znając ofiary konfliktów z Xoklengami, 14 lutego 1856 r. pisze list do prezydenta prowincji Santa Catharina. Zwraca się w nim, do Jego Ekscelencji, o pomoc policji w przeciwdziałaniu atakom Indian, domaga się zastosowania wszystkich środków zapobiegawczych: „Tylko wielkie prześladowanie i pełna dezynfekcja ziem między Itajai Grande i Mirim, zniszczą tę bandę lisów do odłowy i przywrócić spokój oraz moralny

dobrostan tych wszystkich rodzin". W ociekającym destruktywnością przesłaniu, przelewającym się przez usta Blumenaua, pobrzmiewają najgorsze, przyszłe czyny bugrejów. Prezydent prowincji, João José Coutinho w publicznym wystąpieniu odniósł się ze zrozumieniem do przedłożonego apelu. Nazwał Indian barbarzyńcami i mordercami kobiet i dzieci, którzy myślą tylko o zasadzkach i kradzieżach. Samo to sprawia, że jego zdaniem „nie mogą oni być nigdy traktowani z życzliwością i łaskawością”. Za najbardziej praktyczne Coutinho uznał pochwycenie ich z lasów oraz umieszczenie w miejscu, z którego nie będą mogli uciec. Izolacja miała służyć obronie rolników przed „tymi mordercami”, a w przyszłości, jak sądził „przynajmniej dzieci tych barbarzyńców, staną się użytecznymi obywatelami”. Za czasów jego urzędowania, nie podjęto niemniej jeszcze żadnych autentycznych działań zmierzających do osaczenia i dezintegracji Xoklengów.

Autor: Damian Żuchowski

Dla „Wolnych Mediów”

Bibliografia zostanie podana w trzeciej części

PRZYPIS

[1] Określenie Botokud nie było używane wyłącznie w stosunku do Xoklengów. Z nazwą tą identyfikowano również inne plemiona, mające w zwyczaju noszenie botoków. Przykładowo Indianie Krenak z dzisiejszego stanu Minas Gerais uważani byli za odgałęzienie Botokudów Wschodnich (Botocudos do Leste).